

TEMATY TYGODNIA

- 12 Adam Krzemiński
Przenieśmy Dzień Zwycięstwa do Berlina
- 14 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
Faworyt i peleton

POLITYKA

- 17 Joanna Solska
Adam Jarubas – czy pociągnie PSL?
- 19 Adam Grzeszak
Czym prezes Zagórowski podpadł górnikom

ROZMOWA POLITYKI

- 22 A gdyby wybuchła wojna – gen. **Piotr Makarewicz** o polskiej armii

SPOŁECZEŃSTWO

- 26 Joanna Podgórska
Atlas kobiet polskich
- 30 Juliusz Ćwieluch
Problem z dzikiem
- 32 Marta Mazuś **Miłosny marketing w Chełmnie**
- 36 Elżbieta Turlej
Po wypadku: ocaleni, poranieni, pozostawieni
- 38 Marta Mazuś
Internauci piszą do samotnego Mieczysława

RYNEK

- 40 Jacek Żakowski ESEJ
Polska w rogalu Europy

EDUKATOR EKONOMICZNY

- 44 Witold M. Orłowski, Adam Grzeszak, Cezary Kowanda
O ryzyku walutowym, prawach klienta i tym, kto może liczyć na pomoc publiczną

ŚWIAT

- 50 Roman Frister KATAR
Miniaturowy kraj, ogromne ambicje
- 54 Paulina Wilk SINGAPUR
Tłok w światowej stolicy finansów



14 Jaki jest wybór



30 Dziku, ty swinio!



32 Chełmno – stolica walentynek



50 Katar ogarnia świat

- 57 Jędrzej Winięcki NIGERIA
Państwo na skraju rozpadu

HISTORIA

- 60 Jerzy Besala
Stefan Czarniecki – od szlachcica do bohatera
- 64 Jan M. Długosz
Biali niewolnicy w arabskiej niewoli

NAUKA

- 68 Marcin Ryszkiewicz
Dlaczego kobiety są ładniejsze
- 72 Szymon Malinowski
Grozi nam nieodwracalna zmiana klimatu
- 75 TECHNOECHO

KULTURA

- 80 Piotr Sarzyński
Abstrakcyjni, którzy zmienili świat
- 84 Jan Błaszczak
Warner bierze Polskie Nagrania
- 87 KAWIARNIA LITERACKA
Gaja Grzegorzewska
- 88 Rozmowa z **Pablopavo**, laureatem Paszportów POLITYKI w dziedzinie muzyki popularnej
- 91 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

LUDZIE I STYLE

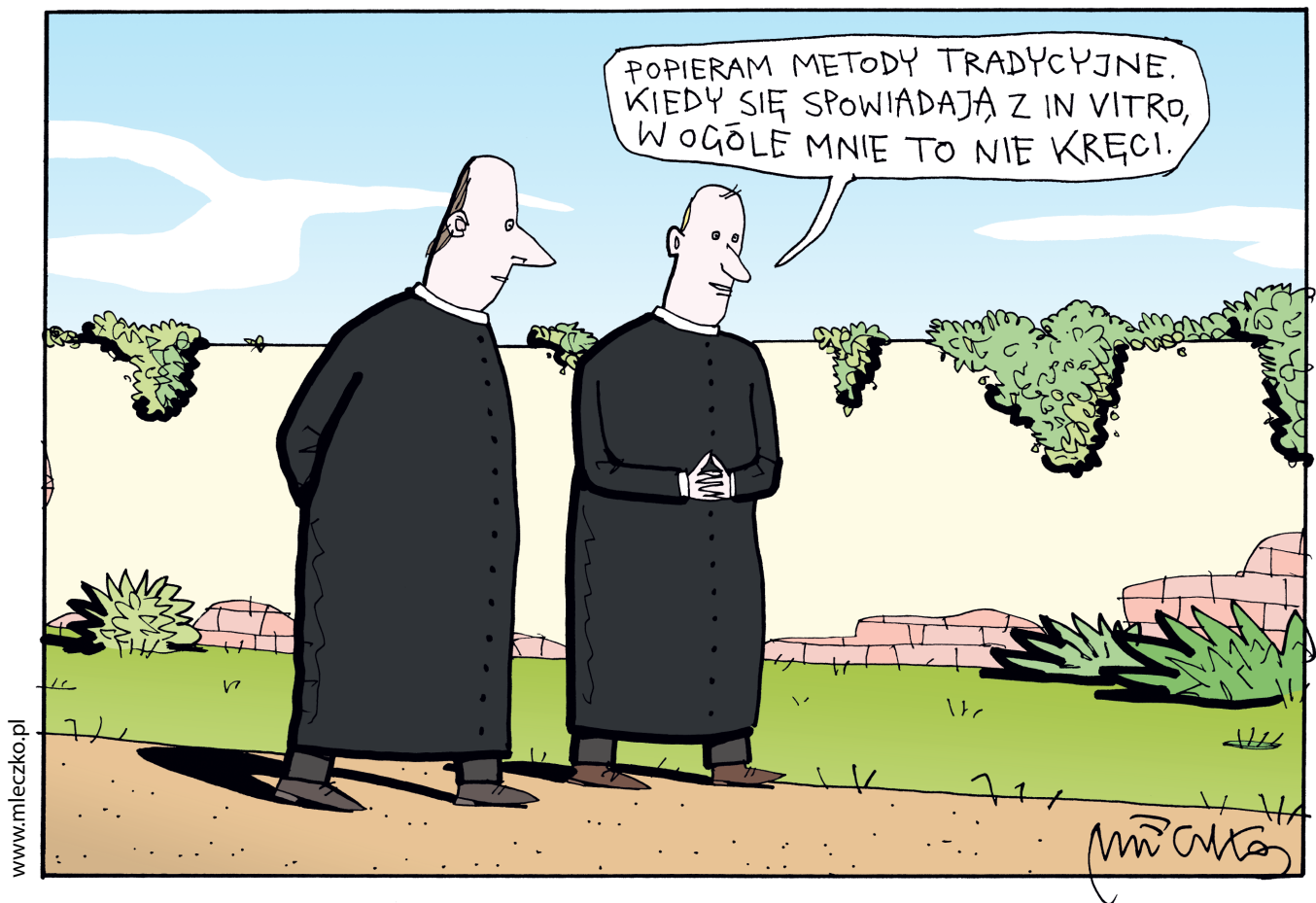
- 92 Jarek Szubrycht
John Oliver – nowy naczelny satyryk Ameryki
- 96 Olaf Szewczyk
Hologramowe gogle
- 100 Aneta Kyzioł
Sto lat Danuty Szaflarskiej

NA WŁASNE OCZY

- 108 Tekst i fotografie Marta Nowakowska
Miss slumsów

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 76 Afisz • 103 Passent
- 104 Stomma • 105 Tym
- 106 Do i od redakcji • 107 Fusy
- 114 Polityka i obyczaje



ślawomir mizerski z życia sfer

Białe przegrywa

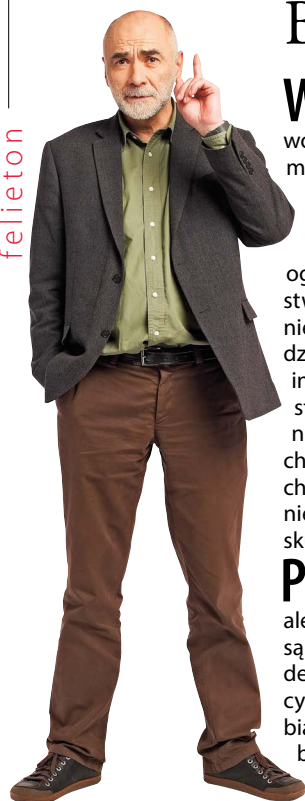
Większość Polaków rozmnaża się z czysto egoistycznych powodów, takich mianowicie, że chce mieć własne dziecko, które będzie dla nich oparciem na starość. Dlatego dobrze, że abp Hoser uświadomił tym Polakom szerszy, ogólnoswiatowy aspekt rodzicielstwa. Zdaniem hierarchy katolicy nie mogą skupiać się na płodzeniu dzieci we własnym wąsko pojętym interesie, gdy w tym czasie przedstawiciele innych religii intensywnie rozmnażają się w celu podboju chrześcijaństwa. „Europa, ta biała, chrześcijańska, zginie, jeśli się nic nie zmieni” – przepowiada arcybiskup na antenie RMF FM.

Przyszłość białej Europy czarno widzi nie tylko nauka Kościoła, ale także nauki bardziej ściśle. „Takie są matematyczne wyniki dynamiki demograficznej” – argumentuje arcybiskup, dodając, że „jeżeli ludność biała, europejska etnicznie, zanika, bo się nie rozmnaża, a ludność muzułmańska bardzo dba o swoją

rozrodność i bardzo ją ceni, no to będzie zwykłe zastąpienie jednej ludności przez drugą”. W wyniku takiego zastępstwa rozmnażający się w najlepsze muzułmanie zajmą nasze ziemie i miejsca pracy, a my, powiada abp Hoser, „będziemy bardzo małą mniejszością etniczną i religijną, która będzie walczyła o swoje przetrwanie”. To naprawdę ponura perspektywa, dlatego moim zdaniem nie czas zastrajać się słowami papieża Franciszka, że katolicy nie muszą się rozmnażać jak króliki. Sytuacja jest taka, że niestety muszą, żeby muzułmanie nie uzyskali nad nami przewagi liczebnej, którą następnie brutalnie wykorzystają. Wygląda na to, że papież, zazwyczaj nieomylny, w sprawie rozmnażania akurat się pomylił – cóż, każdemu może się zdarzyć.

W każdym razie dobrze, że w naszej demografii coś drgnęło i Polaków znowu zaczęło przybywać. Problem w tym, że nie przybywa ich we wszystkich miejscach

równomiernie, na skutek czego w pewnych miejscach (kopalnie, administracja państwowa) od lat jest ich za dużo, a w innych odczuwa się dotkliwe braki. Np. humanistyczne wyższe uczelnie borykają się z brakiem Polaków chętnych do studiowania na nich. Z powodu niżu demograficznego wielu studentów tych uczelni po prostu jeszcze się nie urodziło, a ci, którzy się urodzili, chodzą dopiero do żłobka. Grozi to tym, że część pracowników naukowych uczelni humanistycznych pozostanie niedługo bez pracy. Dlatego utworzony niedawno Komitet Kryzysowy Humanistyki Polskiej domaga się, aby do czasu, gdy chętni do studiowania urodzą się i będą gotowi podjąć studia, rząd zapewnił uczelniom humanistycznym dofinansowanie bez względu na to, czy studiują na nich jacyś studenci. Komitet nie wyklucza, że w przeciwnym wypadku polskiej humanistyce może się przytrafić oflagowanie czarnym kirem i zapalenie opon.





MOMENT
MA ZNACZENIE

W. KRUK

OD 1840 NA ZAWSZE

JEDYNY® OD 599 ZŁ

Dwie konwencje

W trakcie sejmowej awantury o ratyfikację konwencji zwanej antyprzemocową prawie niezauważone zostało wystąpienie posła Krzysztofa Szczerskiego z PiS (profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego), który po przegłosowaniu ustawy powiedział z sejmowej trybuny, a więc jak najbardziej oficjalnie, że jego partia uznaje ratyfikację konwencji jako niezaistniałą. Ot, tak po prostu. W ten sposób budowa kolejnej RP wkroczyła w nowy etap. Prawa nawet nie trzeba zmieniać, jak rozumiem, będzie się je uznawać za niezaistniałe. To dobry sposób na eliminację wielu nieodpowiadających partii opozycyjnej zjawisk. Przecież jako niezaistniałe można uznać nawet niepodległe państwo polskie. W ogóle pole niezaistnienia można dowolnie poszerzać. Dotychczas mieliśmy do czynienia z bojkotem wielu instytucji, teraz można je uznać za niezaistniałe. Pierwszą nieśmiałą jeszcze próbę już zresztą mieliśmy, kiedy to PiS próbowało zakwalifikować wybory samorządowe jako sfałszowane, czyli faktycznie niezaistniałe. Teraz, kiedy sądy kończą rozpatrywanie protestów, okazuje się, że nie zostały sfałszowane, a więc zaistniały. PiS jednak nie przeprosza za kłamliwe oskarżenia. Więc może jednak wybory nadal się nie odbyły? Najważniejsze przecież, aby pozostały wątpliwości.

Wróćmy jednak do konwencji, która przez Sejm jednak została przyjęta, ku wielkiemu rozczarowaniu przede wszystkim episkopatu ostrzegającego w przeddzień głosowania przed uleganiem filozofii marksistowskiej. Posłowie, przynajmniej niektórzy, Kościół zdecydowanie zawiedli, co im natychmiast wypomniano. W każdym razie premier Ewa Kopacz dotrzymała zobowiązania i Sejm upoważnił prezydenta do ratyfikacji konwencji. Klub PO się nie rozpadł, a nawet nie pokłócił, liczenie zaś, kto nie głosował, a kto był przeciw, nie było zbyt atrakcyjne.

Generalnie uznano jednak, że pani premier umocniła przywództwo, które jeszcze kilka dni temu powszechnie kwestionowano. Umocniła także dlatego, że skompletowała wreszcie swoje najbliższe zaplecze, w którym znalazły się osoby spodziewane (Małgorzata Kidawa-Błońska jako rzeczniczka rządu), mniej spodziewane (Jacek Rostowski obok funkcji wiceprzewodniczącego Rady Gospodarczej będzie szefem doradców politycznych) oraz te w Platformie przyjmowane powściągliwie, jak Michał Kamiński, sekretarz stanu i nadzorca służb informacyjnych, w praktyce główny wizerunkowy pani premier, i wreszcie warszawski działacz Marcin Kierwiński, uchodzący



za człowieka z frakcji Schetyny. Wydaje się jednak, że Kierwiński, który raczej próbuje wybić się na samodzielność, awansował za sprawne prowadzenie kampanii Hanny Gronkiewicz-Waltz i lojalność wobec pani premier. Frakcje wiele nie zyskały, nawet słabną, biorąc pod uwagę fakt, że Andrzej Biernat nie został sekretarzem generalnym i nadal jest tylko pełniącym obowiązki, w dodatku ma kłopoty z oświadczeniem majątkowym, co politykom na ogół dobrze nie wróży. Kierwiński objął stanowisko szefa gabinetu politycznego premier Kopacz i zajął miejsce, na które wielką ochotę miał Sławomir Nitras.

Tak więc osoby mało doświadczone zostały zastąpione przez polityków z długim stażem. Taką jest logika przedwyborcza i to wydaje się zasadniczym przesłaniem nowej konstrukcji otoczenia pani premier. Czy jest to sztab na wygranie wyborów? Dla Ewy Kopacz nie ma dziś w Platformie alternatywy, ale też pani premier wyraźnie brakuje sprawnych i sprawdzonych ludzi, których mogłaby wokół siebie zgromadzić. Tym, którzy twierdzą, że Michał Kamiński Platformie szkodzi, wystarczy zadać pytanie: kogo macie lepszego od spraw wizerunkowych, bardziej kreatywnego w pomyślach i polemikach? A przed premier Kopacz kolejne wyzwania – ustawa o in vitro oraz związkach partnerskich, a za progiem kolejne ultimatum związkowe, protesty i marsze. I znów trzeba będzie odpieierać mniej lub bardziej absurdalne zarzuty.

Najpierw jednak prezydent Bronisław Komorowski będzie musiał udowodnić, że nie bierze udziału w mordowaniu chrześcijańskiej cywilizacji, jak sugeruje opozycja. Konwencja antyprzemocowa zaczyna przypominać gorący kartofel przerzucany w miarę politycznych potrzeb. Sejm wypchnął go wreszcie do Senatu, Senat podrzucił prezydentowi, a prezydent być może Trybunałowi Konstytucyjnemu, którego prezes nie tak dawno został oznaczony przez Watykan za zasługi dla Kościoła katolickiego, co jest mało fortunnym zbiegiem okoliczności. Można sobie łatwo

wyobrazić ton debaty, gdyby przyszło się nad konwencją pochylić prof. Andrzejowi Rzeplińskiemu. Na razie prezydent tylko zapowiada, że musi się przyjrzeć konstytucyjności konwencji. Przyglądanie się może trwać dłużej lub krócej, ale jednak jakąś decyzję trzeba podjąć, opozycja i Kościół nie odpuszczą. Już kandydat PiS Andrzej Duda apeluje do prezydenta, żeby nie ratyfikował. Czy episkopat przed wyborami ogłosi, że zawiódł się na prezydencie, podobnie jak ogłosił, że zawiódł się na posłach? Na Andrzeju Dudzie, który właśnie oficjalnie zainaugurował swoją prezydencką kampanię, z pewnością się nie zawiedzie.

Inauguracja kampanii Dudy to było naprawdę mocne uderzenie, przy którym posiedzenie Rady Krajowej Platformy udzielającej poparcia Bronisławowi Komorowskiemu praktycznie nie zaistniało. Sam kandydat, dotychczas snujący się po Polsce bezbarwny młodzieniec, pokazał się w zupełnie nowym wcieleniu. Zaskoczył siłą głosu i kategorycznym tonem wystąpienia, w którym była i wrzuszająca opowieść o własnej drodze życiowej, o fundamentach politycznego zaangażowania (oczywiście jest spadkobiercą największego polskiego męża stanu Lecha Kaczyńskiego), i rzecz jasna ostra krytyka urzędującego prezydenta, a także liczne zapowiedzi, których spełnić się nie da – od obniżenia wieku emerytalnego po regulację cen trzody chlewniej. Były też elementy śmieszne, jak zarzuty wobec prezydenta, że nie prowadzi dialogu. Duda akurat reprezentuje partię, która prezydenta bojkotowała i w rozlicznych prezydenckich debatach po prostu nie uczestniczyła. Sam Duda też nie był, choć jako człowiek tak bardzo otwarty i samodzielny przecież mógł. Kandydat starannie wygumkował ze swego życiorysu fakty akurat niezbyt wygodne, np. to, że faktyczną karierę zawdzięcza Zbigniewowi Ziobrze, u którego został wiceministrem w najgorszym okresie działania resortu sprawiedliwości i manipulowania prokuraturą.

Co po tej konwencji widać? PiS będzie swego kandydata promować i pozostającym pretendentom trudno będzie temu organizacyjno-finansowemu przedsięwzięciu sprostać. A przecież kandydatów przybywa. Zieloni zgłosili już oficjalnie Annę Grodzką, Paweł Kukiz też oznajmił, że nie chce, ale musi, bo nikt inny establishmentu nie przegoni z salonów władzy. Kukiz ostatnio był w wielkiej przyjaźni z Piotrem Dudą z Solidarności. Być może liczy na jego poparcie. Ktoś przecież musi zebrać podpisy i wyłożyć pieniądze na kampanię. Na razie pieniędzmi, jak konfetti, sypnęło PiS.



499 zł
naszyjnik, srebro, złoto
proj. A. Orska



od 249 zł
naszyjniki,
srebro, diament
proj. A. Orska



429 zł
naszyjnik,
srebro
proj. A. Orska

MIŁOŚĆ MA ZNACZENIE

299 zł
naszyjnik, srebro
proj. A. Orska



SPECJALNIE

-20%
biżuteria*

DLA ZAKOCHANYCH

-15%
zegarki*

175 LAT

179 zł
pierścionek, srebro
proj. A. Orska



od 699 zł
pierścionek,
kolczyki, złoto

W.KRUK

OD 1840 NA ZAWSZE

*Rabat maksymalny. Nie dotyczy marki ROLEX. Wstęp do Klubu dla Przyjaciół W.KRUK. Rabaty nie sumują się. Promocja trwa do 15.02.2015r. Szczegóły w salonach i na wkruk.pl

Pokazujemy Chińczykom, co potrafimy

Amerykane prowadzili w Chinach własną dyplomację pingpongową. Niewykluczone, że i my doczekamy się naszego kulturalnego ping-ponga. Od 7 lutego mieszkańcy Państwa Środka mogą bowiem oglądać największą w historii prezentację polskiej sztuki, w największej i bardzo prestiżowej placówce wystawienniczej kraju znajdującej się przy placu Tiananmen, niemal vis-à-vis mauzoleum Mao: w Narodowym Muzeum Chin. Taką szansę dostały dotychczas tylko dwa kraje: Francja i Niemcy. Przez muzeum prze-wija się codziennie od 10 do 20 tys. zwiedzających i nawet jeśli tylko część z nich zajdzie na naszą ekspozycję, to i tak możemy liczyć na, nieosiągalny jak na rodzime warunki, frekwencyjny rekord. Trzeba jednak przyznać, że przygotowaliśmy się do tego wyzwania niezwykle starannie, prezentując blisko 350 eksponatów pozyskanych z 17 największych krajowych muzeów i ko-



lekcji. Tytuł całości słusznie gra na chińskich sentymentach i na jedynej kojarzonej tu naprawdę powszechnie postaci znad Wisły: „Skarby z kraju Chopina”.

Pokazujemy sztukę od XV do XX w., co w skali Chin odpowiada jednej ledwie dynastii, a u nas – niemal całej materialnej historii. Wstydu jednak nie ma, a niektóre obiekty budzą wśród Chińczyków ogromne zainteresowanie. Szczególnie te, które z ich perspektywy wydają się egzotyczne: gotycka rzeźba religijna, portrety trumienne, witraże (Wyspiański). Od samego początku

największy tłok panuje jednak przed monumentalnym „Batorym pod Pskowem” Jana Matejki. Zwiedzających intrygują zarówno jego walory warsztatowe, jak i treść. Miejscowe media bardzo chwalą ekspozycję, a oficjele chętnie podkreślają, że to dopiero początek kulturalnej współpracy na dużą skalę. Już w najbliższych miesiącach ruszymy do Pekinu z polską muzyką, filmem i sztuką współczesną, a w przyszłym roku Chińczycy zrewanżują się wielką wystawą swoich dawnych skarbow.

PIOTR SARZYŃSKI

Zapłacimy po połowie?



Cezary Kowanda

Frank stanął wobec złotego, a stopy w Szwajcarii są wyraźnie ujemne. W Polsce nie uspokoiło to jednak debaty, czy i jak pomagać zadłużonym we frankach. Dziś napędza ją szczególnie wydajne paliwo, czyli podwójna kampania wyborcza. Spośród aktualnych propozycji tak naprawdę na uwagę zasługują dwie. Pierwszą zgłosił prezydent Bronisław Komorowski, praktycznie równoległe z informacją, że będzie ubiegał się o reelekcję. Głowa państwa chce stworzyć fundusz restrukturyzacji kredytów hipotecznych, dostępny dla osób w tarapatkach, spłacających pożyczki zarówno we frankach, jak i w euro czy złotych. To próba uspokojenia i zrjonalizowania dyskusji, a także pogodzenia zadłużonych w różnych walutach, którzy w tej chwili patrzą na siebie wilkiem. Frankowicze uważają się często za ofiary oszustwa i oczekują pomocy państwa, a kredytobiorcy złotowi czują się dyskryminowani, wskazują też na próby nierównego traktowania. Pomysł prezydenta, jeśli zostanie wdrożony, może pomóc osobom w najgorszej sytuacji, ale oczywiście nie rozwiązuje podstawowego problemu, czyli wystawienia prawie miliona Polaków na chaotyczne wahania kursu franka. Szef Komisji Nadzoru Finansowego Andrzej Jakubiak jako pierwszy i na razie jedyny

przedstawił w miarę konkretny plan rozwiązania problemu kredytów we frankach, a nie tylko łagodzenia skutków kursowego szoku. Przewodniczący KNF proponuje nowe zasady przewalutowania na złote i podział kosztów tej operacji po połowie między kredytobiorcą i bankiem. Ten kompromis w pełni nie zadowala nikogo. Spłacający frankowe kredyty najczęściej uważają, że banki cały koszt przewalutowania, czyli różnicę między kursem obecnym a tym z chwili wzięcia kredytu, powinny wziąć na siebie. Z kolei banki czują się ofiarą nagonki, powtarzają, że przed ryzykiem kursowym każdego klienta ostrzegali. Są zatem gotowe na czasowe obniżenie spreadu czy wydłużenie okresu spłat, ale nie na poniesienie ogromnych kosztów przewalutowania, które w sumie szacują (czy aby nie na wyrost?) na 20–25 mld zł. Nic zatem dziwnego, że zrobią wszystko, aby propozycję KNF utracić albo przynajmniej maksymalnie rozwodnić.

Tymczasem nad pomysłem Andrzeja Jakubia-ka warto się pochylić, bo próbuje on rozbroić potencjalnie groźną bombę, czyli zmniejszyć liczbę kredytów we frankach. To przecież nie ostatnia gwałtowna zmiana kursu, bo i frank, i złoty są podatne na światowe zawirowania. Kredyty we frankach spłacane mają być w większości jeszcze przez ponad 20 lat. Czy tyle czasu chcemy gasić kursowe pożary byle jak i byle czym?

76 proc. Polaków stosuje leki.

Co czwarta osoba przebadana jesienią 2013 r. nie przyjmowała żadnych środków leczniczych. 32 proc. Polaków przyjmowało suplementy, 29 proc. – leki na ból głowy, 20 proc. – na choroby sercowo-naczyniowe i bóle stawów, 19 proc. – antybiotyki. Leki na alergie brało 7 proc., a na cukrzycę – 5 proc. Polaków. Suplementy są najpopularniejsze wśród mieszkańców największych miast, najzamożniejszych (powyżej 1,6 tys. zł dochodu na osobę) i najlepiej wykształconych – w tych grupach odsetek przyjmujących je przekraczał 40 proc. Wśród emerytów i rencistów leki przyjmuje 93 proc., najczęściej na choroby układu krążenia (58 proc.) i bóle stawów (48 proc.). (PI)

Roman Frister (1928–2015)

Żegnaj, dzielny Romku

Dostojnie do ostatnich dni nie tylko pisał, ale i przychodził do redakcji. Trzy tygodnie temu obchodziliśmy jego 87 urodziny. Jeszcze w ubiegłą sobotę rozmawialiśmy z nim o artykule, zesłanym właśnie do drukarni, który czytelnicy mogą przeczytać w tym samym, co to pożegnanie, numerze (s. 50). Z tego artykułu, jak i z innych, przebija dogłębna wiedza o Bliskim Wschodzie: mieszkał tam i pracował ponad pół wieku. Swoje niezwykle życie tylko po części przedstawił w książce „Autoportret z bliźną”, tłumaczonej na kilkanaście języków. Ta bliźna to oczywiście Mauthausen, Auschwitz i marsz śmierci z powrotem do Mauthausen, przeżyta na własnych oczach śmierć matki, zabitej kolbą pistoletu przez nazistę, oraz śmierć ojca z wycieńczenia w obozie. Choć sam przeżył cudem,

nie wspominał cierpień. Za to ostrzegał przed zezwierzęceniem człowieka – i katów, i nawet ofiar w tak ekstremalnych warunkach. Jego nagrane w Yad Vashem świadectwo obozowe jest jednym z najdramatyczniejszych dokumentów osobistych, jakie powstały. Bezwzględna szczerść i przyznanie do słabości budzi najwyższy szacunek.

Po poobozowej dwuletniej kuracji został dziennikarzem, lecz w 1952 r. UB aresztowało go za rzekomy sabotaż i wpisało na czarną listę. Wyemigrował do Izraela. Zdołał od zera tak mistrzowsko opłonić hebrajski, że przez ponad 25 lat pracował w jednym z głównych dzienników kraju – „Haaretz”, z czego 14 lat jako redaktor naczelny magazynu weekendowego, a kilkanaście lat kierował nawet szkołą dziennikarską w Tel Awiwie, włączoną potem do uniwersytetu. Pracował też dla Radia Wolna Europa i polskiej sekcji BBC. Zachował polskie obywatelstwo, które łączył z izraelskim patriotyzmem. Jedną z pierwszych książek, które napisał po hebrajsku, nosi tytuł „Dziesiąty do modlitwy”. To historia bohaterskiego żołnierza wysłanego na beznadziejny wysunięty 9-osobowy posterunek, by dopełnić grono, według tradycji żydowskiej konieczne do ważnej modlitwy.

Roman był cenionym pisarzem, jego książki tłumaczono na wszystkich kontynentach. Od prawie ćwierć wieku był też związany z naszą redakcją, pisując regularnie korespondencje z całego Bliskiego Wschodu. Napisał nam kilkaset artykułów, a docierał do źródeł zwykle rzadko dostępnych. Miał ogromną bibliotekę, szerokie znajomości w świecie. Choć czuł się dziennikarzem, a nawet przez pewien czas żołnierzem Izraela, umiał nie tylko współczuć Palestyńczykom, ale i nawiązać z nimi mądre, ludzkie porozumienie. Zamówiliśmy kiedyś u niego artykuł, który miał być relacją z rozmowy z palestyńskim intelektualistą w warunkach ostrego przecież konfliktu, nawet nieważności między obiema społecznościami. Zapis dialogu zatytułowaliśmy w redakcji „Rozmowa ze śmiertelnym wrogiem”. Roman wyraził żal i niezadowolenie. Gdybym wiedział, że taki dacie tytuł – nie namawiałbym Palestyńczyka na rozmowę. Krytykował też wielokrotnie zapiekłość izraelskich ortodoksyjnych środowisk religijnych. Mimo ogromnie pesymistycznego poglądu na perspektywy porozumienia obu narodów – Roman był mądrym humanistą.

Podobnie umiał trwać w bardzo wyważonej postawie w sporach i debatach polsko-żydowskich, które były też częstym tematem jego korespondencji dla „Haaretz”. Nie wybielał Polaków, opowiadał, jak szmalcownik wydał go Niemcom do obozu. Ale też podkreślał, że ratował mu życie inny Polak. Kiedy po wojnie pojechał do niego na wieś z hojnym wynagrodzeniem, prosty polski chłop odparł, że niczego nie weźmie. „Rozliczać się będziemy tam” – powiedział, pokazując palcem w niebo.

Roman wiele też zrobił dla dobrych stosunków polsko-żydowskich, wspierając przy tym swoją żonę Elżbietę, chrześcijankę, która przez kilka lat kierowała Instytutem Polskim w Tel Awiwie i założyła Fundację Kultury Izrael-Polska. Z humorem podkreślał, że dialog polsko-żydowski zna najlepiej, bo prowadzi go nawet nie wstając z łóżka.

Eli, jak i całej rodzinie Romana składamy serdeczne kondolencje.

„Żyjąc w Polsce, byłem przekonany, że jestem u siebie. Dopiero po pełnym zaaklimatyzowaniu się w Izraelu doszedłem do przekonania, że Polska była dla mnie wspaniałym gościnnym domem, ale dom prawdziwie mój jest nad Jordanem. I wciąż jeszcze nie wiem, kiedy dostrzegłem tę cienką granicę między moim a ich światem” – pisał 20 lat temu w autobiografii. Ostatnie lata spędził jednak w Warszawie, wśród nas i ta cienka granica, o której wcześniej pisał, mocno się zatarła. Myśły jej nigdy nie widzieli. Był naszym serdecznym, mądrym przyjacielem.

ZESPÓŁ: POLITYKA



© ARCHIWUM



Bestialstwo góra?

Król Jordanii Abdullah II w swoim gabinecie

Kolejne bestialstwo tzw. Państwa Islamskiego osiągnęło cel. Przerazająca egzekucja 26-letniego jordańskiego pilota Moaza al-Kasasbeha wpisuje się w logikę wojny psychologicznej prowadzonej przez dżihadystów. Nie mogą osiągnąć przewagi militarnej, dążą oni do zastraszenia przeciwników metodą szoku paraliżującego chęć działania. Filmy oglądają też psychopaci, którzy wcześniej wypowiadali się w internecie, jak pilota zamordować. Ustalono w głosowaniu, że zgodnie z prymitywną wersją szariat (prawa koranicznego), czyli na zasadzie oko za oko. Skoro zrzucił bomby zapalające, trzeba go spalić żywcem. Al-Kasasbeh należał do wpływowego rodu jordańskiego powiązanego z armią. Ojciec pilota wezwał do odwetu. Na ulice Ammanu wyległy tłumy. Dołączyła królowa Rania, chrześcijanka. Jej mąż, człowiek służb specjalnych i armii, zapowiedział, że Jordania nasili bombardowania dżihadystów. Władze nakazały egzekucję dwojga więzionych w Jordanii terrorystów. Oburzenie na zbrodniarzy w świecie muzułmańskim było większe niż zwykle. Niektórzy duchowni uważają, że pilot zginął bohaterską śmiercią męczennika islamskiego. Z kolei proreżimowa prasa syryjska oskarża Jordanię o popieranie terroryzmu, czyli sił walczących z prezydentem Asadem, w tym dżihadystów. Palestyński Hamas potępił zbrodnię, ale winę też zwał na Jordanię jako członka zachodnioarabskiej koalicji pod wodzą USA walczącej z fanatykami. Zjednoczone Emiraty Arabskie wycofały się z koalicji antydżihadystycznej. Wielu Jordanczyków zaczyna pytać, czy Amman też nie powinien się wycofać. A więc i na tym odcinku bestialstwo zwycięża?

Francuskie niedziele

Według ostatniego sondażu instytutu IPSOS aż 84 proc. Francuzów uważa wolne od pracy niedziele za sprawę zasadniczą dla życia rodzinnego, kulturalnego i religijnego. Co pewien czas wybuchają spory co do uregulowań prawnych: właśnie teraz parlament obraduje nad tzw. ustawą Macro-



na, nowego ministra gospodarki, który – podobnie jak minister turystyki – chce rozszerzenia długiej listy wyjątków umożliwiających poszczególnym firmom i regionom wprowadzanie pracy w niedzielę. Dotychczas na przykład merowie miasteczek mogli zezwalać na pracę przez pięć wybranych niedziel w roku, a projekt ustawy przewiduje 12 niedziel. Sprawa nie jest jednoznaczna, zwłaszcza dla działaczki Partii Socjalistycznej **Martine Aubry**. Przed 15 laty jako minister wprowadzała ona 35-godzinny tydzień pracy – w nadziei, że Francuzi będą się dzielić pracą, by zmniejszyć bezrobocie. W jakim społeczeństwie chcemy żyć, czy lewica ma do zaoferowania tylko gromadzenie dóbr konsumpcyjnych? – pyta Aubry.

Rząd twierdzi, że rozszerzenie zatrudnienia w niedziele przyczyni się do wzrostu gospodarczego i złagodzi trudności budżetu. Spory toczą się też o wynagrodzenie. Dominuje jednak kłótnia o symbole – gdyż prawie jedna trzecia Francuzów (29 proc.) i tak pracuje w niedziele: często lub okazjonalnie.



Ostatnia szansa bez szans

Ofensywa prorosyjskich separatystów wokół ważnego węzła kolejowego Debalcewo w Donbasie jest najcięższą od czasów podpisania rozejmu mińskiego we wrześniu ub.r. Według oficjalnych danych liczba ofiar cywilnych przekroczyła 5 tys., ale może ich być nawet 10-krotnie więcej. Tysiące mieszkańców uciekają z terenów przy linii frontu, z Doniecka i Ługańska. Moskwa złamała wszelkie ustalenia: nie wstrzymała finansowania separatystów, nie wycofała

ciężkiej broni ani swoich wojsk, a przede wszystkim nie zamknęła granicy z Ukrainą. Separatyści dzięki rosyjskiemu wsparciu powiększyli swój stan posiadania i nie zamierzają na tym poprzestać. Robi się dramatycznie, ukraińska armia, mimo ogłoszonej mobilizacji, nie jest w stanie stawić skutecznego oporu. Kijów prosi o broń, która służyłaby do obrony: to Ukraina została napadnięta i ma prawo bić się o swoje. Choć decyzja nie zapadła, Ameryka mogłaby dobrać Ukraińców. Byłaby to presja na Moskwę, ale też groźba dalszego rozlewu krwi. Wojny. Europa tymczasem uważa, że konflikt ciągle można rozwiązać drogą dyplomacji. I w taki projekt się zaangażowała: nazwano go planem ostatniej szansy.

Plan pokojowy, jaki przedstawili w Kijowie i Moskwie **Angela Merkel** i **François Hollande**, wzywa do respektowania porozumień z Mińska, wstrzymania rosyjskiej pomocy dla separatystów i wprowadzenia – od zaraz – misji wojsk rozjemczych pomiędzy walczące strony. Napotkali jednak kontrę **Putina**: rosyjski prezydent domaga się przywrócenia przez Kijów finansowania Donbasu, federalizacji, czyli podziału Ukrainy, nie zgadza się też na zamknięcie granicy, gdyż, jak przekonuje, tędy płynie pomoc humanitarna dla terenów objętych wojną. Wojska rozjemcze – jeśli miałyby stacjonować – to na granicy Donbasu. Tych warunków nie akceptuje prezydent Poroszenko, przekonany, że powstanie enklawy poza kontrolą Kijowa jeszcze bardziej zdestabilizuje państwo. Kijów deklaruje gotowość do natychmiastowego rozejmu, ale wiara, że taki rozejm nastąpi, praktycznie wygasła.



Stalin ciut wyższy

W Jałcie na Krymie odsłonięto właśnie pomnik Wielkiej Trójki, która obradowała tu w dniach 4–11 lutego 1945 r. nad powojenną przyszłością świata. Monumentalne sylwetki Roosevelta, Churchilla i Stalina wzięto z popularnej historycznej fotografii. Pomnik autorstwa gruzińskiego monumentalisty Żuraba Cereteli planowano odsłonić już 10 lat temu, z okazji 60 rocznicy konferencji jałtańskiej, ale skutecznie zaprotestowali wówczas krymscy Tatarzy, których Stalin stąd masowo wysiedlił. Później pomnik miał przygarnąć Wołgograd, dawny Stalingrad, ale nie było wystarczającego klimatu. Teraz Tatarzy też protestowali, ale na niewiele się to zdało. Na wchłoniętym przez Rosję Krymie klimat dla Stalina okazał się przychylny. W dodatku, wbrew prawdzie historycznej, spiżowy Stalin na pomniku jest wyższy od obu swoich rozmówców, których w Jałcie, z uśmiechem na ustach, oszwał. I chyba głównie o to w tym nowym monumencie chodziło.

Z musu

Cały świat oszalał ostatnio na punkcie produkowanego w okolicach Wenecji prosecco, białego wina musującego, którego w zeszłym roku sprzedało się aż 307 mln butelek, podczas gdy dotychczas dominującego na rynku bąbelkowych alkoholi szampana kupiono o 3 mln butelek mniej. Największym importerm włoskiej produkcji jest Wielka Brytania, ale Wyspiarze podeszli twórczo do serwowania napoju – coraz częściej importują go w beczkach i sprzedają na kieliszki, bo w ostatecznym rozrachunku przynosi to większy zysk.

Włoscy producenci burzają się, że tak nazywany alkohol nie może być dalej podawany, bo zgodnie z tradycją jest nim jedynie wino nalewane prosto z butelki, na co Włosi mają potwierdzenie w postaci regulacji unijnych z 2009 r. W Rzymie sprawę traktuje się na tyle poważnie, że włoski rząd zwrócił się już do władz w Londynie, żeby prawnie wymusiły zaprzestanie barowej samowolki. W razie braku reakcji producenci prosecco zapowiadają pozwy sądowe. Niestety, na podobną interwencję w sprawie ananasa na pizzy jest już chyba za późno.

Wybory w Nigerii przełożone

Nie możemy zagwarantować bezpieczeństwa wszystkim głosującym, oświadczyła nigeryjska armia, czym właściwie w ostatniej chwili zmusiła komisję wyborczą do przełożenia maratonu wyborczego, który miał czekać Nigeryjczyków w lutym. Wybory prezydenckie i parlamentarne przełożono z 14 lutego na 28 marca, elekcja m.in. gubernatorów stanów odbyć się ma 11 kwietnia. Opozycja alarmuje, że kilkadziesiąt dodatkowych dni kampanii

to zamach na młodą demokrację i sztuczka słabnącego w sondażach prezydenta Goodlucka Jonathana. Armia zapowiada bowiem, że w sześć tygodni zrobi to, czego nie potrafiła przez sześć lat: pokona wreszcie dżihadystów z Boko Haram, by wybory mogły się odbyć także na terenie objętym powstaniem. O napiętej sytuacji w Nigerii – w związku z cyklem wydawniczym jeszcze z podaniem pierwotnych dat głosowań – piszemy na s. 57.

Facebookowe Republiki Ludowe

Na Facebooku pojawiły się profile „Wileńskiej” i „Lwowskiej Republiki Ludowej”. W opisie można przeczytać, że autorzy strony żądają „wprowadzenia polskich zielonych ludzików” na Wileńszczyznę i Lwowszczyznę i „przeprowadzenia tam referendum wśród autochtonicznej ludności”. Szczególnie profil „WRL” rozpętał sporą awanturę, a jego uruchomienie zbiegło się z pojawieniem wymalowanego sprayem na murze napisu „Wilno = Donbas” w Nowej Wilejce, lewobrzeżnej dzielnicy Wilna, w której grubo ponad jedną trzecią mieszkańców stanowią Polacy.

Polskie środowiska wileńskie, w tym te nacjonalistyczne, mocno i stanowczo odcięły się od „WRL”, nie szczędząc jej twórcom ostrych słów. Odciął się od projektu również Związek Strzelecki, do którego strony internetowej zamieszczono link na profilu. Wskazywano na „koronarskie” pochodzenie strony: po pierwsze polszczyzna, w jakiej profile są prowadzone, nie posiada żadnych charakterystycznych wileńskich cech, po drugie – wpisy zbyt mocno osadzone są w polskich realiach, wśród litewskich Polaków niezbyt dobrze znanych. Wilnianie sugerowali więc albo „prowokację służb”, albo wskazywali na Falangę, nacjonalistyczną polską organizację związaną z Xportalem i znaną z prosyjskich sympatii. Ten drugi trop wydaje się dość prawdopodobny, tym bardziej że administratorzy profilu WRL i LRL regularnie publikują informacje z Xportalu, a jego redaktor naczelny (i lider Falangi) Bartosz Bekier aktywnie wspiera separatystów: jeździ na tereny kontrolowane przez siły „Noworosji”, skąd pisze korespondencje dla Xportalu. Nie ukrywa w nich poparcia dla separatystów i wspierającej ich Rosji, sympatii dla Władimira Putina i wrogości do ukraińskich władz.



Na Berlin?

Miałem sen. Oto 8 maja 2015 r., w 70-lecie zakończenia II wojny światowej, z inicjatywy Donalda Tuska i Angeli Merkel dzisiejsza cywilizowana Europa spotka się w Berlinie – bez trzaskania buciorami o bruk, bez wrzasku „uraa!” i obwoźnej erekcji rakiet atomowych. A nazajutrz wspólnie obchodzimy 9 maja, święto Unii Europejskiej...

ADAM KRZEMIŃSKI

Wiem, że to mało realne. Bo późno. Bo jest pomysł polskiego prezydenta, aby rocznicę końca wojny świętować na Westerplatte. Bo – jak podaje „Spiegel” – Angela Merkel i Joachim Gauck mają już jakieś własne plany na 8 maja. Bo wokół majowych obchodów toczy się europejska gra dyplomatyczna z Moskwą. OK. Ale pozostały jeszcze trzy miesiące. Więc może np. sesja historyczna w Gdańsku i spotkanie europejskich przywódców w Berlinie?

Dlaczego upieram się przy Berlinie? To oczywiste. Rozpoczęta 1 września 1939 r. bombardowaniem Wielunia i ostrzałem Westerplatte wojna zakończyła się nie w Moskwie, Londynie czy w kwaterze gen. Eisenhowera we francuskim Reims, lecz w Berlinie kapitulacją Wehrmachtu (podpisaną wprawdzie według czasu moskiewskiego 9 maja 1945, ale według czasu środkowo-europejskiego obowiązującą już od godziny 23.01 poprzedniego dnia). Przez dekady, zwłaszcza w naszej części Europy, przyzwyczailiśmy się, że główne, centralne obchody Dnia Zwycięstwa odbywają się w Moskwie. Ale właściwie dlaczego? I czy na pewno militarny triumf nad III Rzeszą to najważniejsze, co powinniśmy tego dnia wspominać i celebrować?

Niczego nie ujmując ani samemu zwycięstwu, ani poświęceniu Armii Czerwonej.

Czy jednak świętowanie w Berlinie klęski III Rzeszy nie byłoby upokorzeniem dzisiejszych Niemców? Przecież nikt nie świętuje swojej klęski. Nie do pomyslenia, by Francuzi w 200 rocznicę upadku Napoleona (lipiec 1815 r.) spraszali do siebie Europę. To prawda, ale Niemcy po wojnie świadomie przepracowywali – zarówno pod wpływem alianckiej reedukacji, jak i samokształcenia – własną historię. W NRD był to proces wymuszony na wzór radziecki. „Dzień wyzwolenia narodu niemieckiego od hitlerowskiego faszyzmu” był od 1950 do 1967 r. dniem wolnym od pracy. Natomiast w RFN zarówno 1 września jak i 8 maja były przez lata albo przemilczane, albo zbywane.

Przełom nastąpił w roku 1985 r., w 40 rocznicę końca wojny, gdy zmarły niedawno prezydent Republiki Federalnej Richard von Weizsäcker swą wyczelowaną mowę wygłoszoną w Bundestagu potraktował jako swoiste niemieckie rekolokacje: „Potrzebujemy siły i mamy ją, by spojrzeć w oczy prawdzie, na ile to możliwe, bez upiększeń i niejednostronnie...”. Przyznawał, że dla Niemców nie jest to dzień „radosnego świętowania”,



a mimo to „dziś wszyscy razem powinniśmy sobie powiedzieć: 8 maja był dniem wyzwolenia”. Korzenie klęski Niemiec widział w przejściu władzy przez Hitlera w 1933 r., a powojenne cierpienia Niemców – w kontekście niemieckich zbrodni. Wspominał złowrogą rolę paktu Ribbentrop-Mołotow, w którym Kreml świadomie przykładał rękę do zniszczenia Polski: „To nie umniejsza niemieckiej winy za wybuch drugiej wojny światowej. Związek Radziecki godził się na wojnę innych narodów, by uczestniczyć w podziale zysków. Jednak inicjatywa rozpoczęcia wojny wyszła od Niemiec...”. I puenta: „Nie możemy rozpamiętywać 8 maja, nie uprzytomniając sobie, jak bardzo byli wrogowie musieli się przewycięzać, by wykazać gotowość do pojednania...”.

To pojednanie „odwiecznych wrogów” – nie tylko Niemców, Francuzów, Polaków, Brytyjczyków, ale wszystkich narodów znajdujących się w Unii Europejskiej i do niej aspirujących, jest dowodem przewyciężenia europejskiego fatum, wyciągnięcia wniosków z tragedii największej, najbardziej krwawej wojny w dziejach świata. Spotkanie Europejczyków w Berlinie 8 maja byłoby świadectwem europejskiej siły i mądrości, a nie poniżeniem Niemiec. I akurat polski prezydent UE ma wszelki tytuł do temu, by wraz z niemiecką panią kanclerz wystąpić z taką inicjatywą na dowód, że Niemcy i Polacy, najtrudniejsi w XX w. europejscy sąsiedzi, wyszli z cienia historii.

Czy 8 maja miałby być nowym europejskim festy-nem? Absolutnie nie. Forma takich obchodów jest bodaj równie ważna jak treść. To może powinien być Dzień Pamięci, refleksji, raczej europejskie Zaduszki niż Święto Zwycięstwa. Żołnierzom radzieckim, którzy walczyli z Wehrmachtem i setkami tysięcy ginęli w marszu na Berlin, należy się szacunek, a weteranom Wielkiej Wojny Ojczyźnianej tradycyjny *stakan* na placu Czerwonym. Ale – w wersji historii dla dorosłych – trzeba przypominać, że ich zwycięstwo nad III Rzeszą połowie Europy nie przyniosło wolności, lecz narzucony ustrój i represje. Że dopiero rewolucja 1989 r. skorygowała skutki stalinowskiego imperializmu. Że mamy prawo do różnej historycznej pamięci. I odmiennych sposobów jej wyrażania.

Nowa reżyseria obchodów zwycięstwa nad III Rzeszą to, podobnie jak rocznica wyzwolenia KL Auschwitz, część wielkiej i niezbędnej reinterpretacji historii XX w. W tym Jałty, Poczdamu, Hiroszimy, kolejnych sekwencji czterdziestoletniej zimnej



Berlin 1945 r.
Zwycięscy
marszałkowie
przed Bramą
Brandenburską.
W pierwszym
rzędzie od prawej:
Konstanty
Rokossowski,
Bernard
Montgomery
i Geоргий Żukow.

wojny. Czas najwyższy poskładać nową filozofię dziejów, która odpowiadałaby współczesnym XXI w. Zwłaszcza wobec dzisiejszej ofensywy putinizmu.

Mamy tu bowiem, po obu stronach Europy, do czynienia z odwrotnymi procesami politycznymi i psychologicznymi: o ile Rosja Putina wraca do stalinowskich interpretacji II wojny światowej, o tyle Europa Zachodnia rozszerza i europeizuje ciasne narracje narodowe. Tradycyjnie były one zwykle formułowane w konkurencji do sąsiadów. Akcentowały własne triumfy i własne cierpienia. Te narodowe opowieści nie zanikają. Są jednak filtrowane poprzez odwołanie do uniwersalnych wartości praw człowieka, demokracji, solidarności. A przede wszystkim uzupełniane wyraźną refleksją nad własną współwiną za europejskie katastrofy XX w. W państwach członkowskich UE dumie z własnych osiągnięć towarzyszy wypracowana swoista „kultura wstydu” za niegodne wątki własnej historii i dyskusja o nich.

Ze zrozumiałych powodów najbardziej rozwinięta jest ona w Niemczech. Jej najświeższym, dobitnym przejawem było niedawne wyznanie prezydenta Niemiec Joachima Gaucka, że Auschwitz jest częścią niemieckiej tożsamości. W każdym cywilizowanym człowieku – skomentowała to „Frankfurter Allgemeine” – coś się burzy przeciwko uznaniu zbrodni ludobójstwa na europejskich Żydach za część narodowej tożsamości. A tak się stało. „Dzisiejsze Niemcy zostały wzniesione na ruinach Auschwitz jako wolnościowo-demokratyczny kontrprojekt wobec dyktatury Hitlera i rasistowskiego szaleństwa. Do dziś niepodobna zrozumieć niemieckiej polityki wewnętrznej i zagranicznej bez znajomości tych najciemniejszych 12 lat niemieckiej historii i wyciągnięcia z niej lekcji” – mówił Gauck. To nie znaczy, że Niemcy biegają po świecie z głowami posypanymi popiołem. Jednak kultura wstydu i odpowiedzialności za historię jest częścią niemieckiej pedagogiki społecznej, aż po dyskusję, jak to rozumienie niemieckości wszczepić nie tylko pokoleniom urodzonym długo po wojnie, ale i imigrantom niewykłanym rodzinnie w niemiecką kwestię winy.

Republika Federalna nie jest w UE wyjątkiem. We Francji od lat toczy się dyskusja o francuską winę w czasach Vichy i wojen kolonialnych, zwłaszcza w Algierii. W Hiszpanii o winę hiszpańską w związku z wojną domową i późniejszym terrorem frankistowskim. W Austrii była afera Waldheima, u nas – niekończące się spory o nasz antysemityzm i o współczucie wobec wysiedlanych z ziem zachodnich Niemców...

Do takiej kultury wstydu (co można łagodniej nazwać empatią wobec innych, nawet odmiennych perspektyw historycznych) dochodziła także ZSRR, gdy Chruszczow ujawniał zbrodnie Stalina, a Gorbaczow odpowiedzialność Kremla za Katyń. Jak wynika z prac polsko-rosyjskiej komisji kierowanej przez Adama Rotfelda i Anatolija Torkunowa, również Rosja Miedwiediewa zdawała się do tego marszu gotowa. Jednak w dzisiejszej oficjalnej Rosji jest nie do pomyślenia, by prezydent Rosji powiedział choćby tyle, że wstyd i odpowiedzialność za zbrodnie Gulagu powinny stać się częścią rosyjskiej tożsamości. Nie mówiąc już o zbrodniach wobec narodów sowieckiego imperium, radzieckiej strefy wpływów czy tzw. bliskiej zagranicy.

Według sondaży im bardziej militarną politykę Putin prowadzi, tym większe ma społeczne poparcie.

Tak było w 1999 r. w czasie wojny czeczeńskiej, w 2008 r. w czasie wojny z Gruzją i tak jest teraz. Ambasador Stanisław Ciosek zwraca uwagę, że duma z armii jest „spłotem słonecznym rosyjskiej samowiedzy” i że trzeba to uszanować. Ale czy rzeczywiście trzeba?

Wiktor Jerofiejew, rosyjski pisarz i publicysta, twierdzi, że Rosja przechodzi dziwny okres, w którym nie daje światu niczego. Chce odbudować imperium, by móc sfinansować swoją egzystencję – ale imperium trzeba wydrzeć innym. Ten militarny patriotyzm wykrzykuje w żalonym „Ruskim marszu” – do obejrzenia na YouTube – lubiana u nas Żanna Biczewska: Rosjanie idą na pomoc swej ukochanej armii, idą wyzwać Trzeci Rzym, bronią nie tylko Rosjan, wzywają wszystkich Słowian i plują na potęgę Ameryki i Europy, ten marsz zakończy sabat wrogów ojczyzny, którym rychło będzie nie do śmiechu...

Rosyjski militarizm jest plastrem na rosyjską duszę zranioną rozpadem imperium. Zachód ludzi się, że Rosja może być krajem europejskim. „Ta katastrofalna pomyłka znalazła finał w Donbasie, gdzie zderzyły się dwa systemy wartości: europejski i rosyjski. Pierwszy raz od bardzo dawna doszło na kontynencie do wojny o wartości. Wojny, która udowodniła, jak bardzo Rosja nie należy do Europy” – ciągnie Jerofiejew.

Oby się mylił. Jeśli jednak ma rację, że na wschodzie Ukrainy obok wojny militarnej toczy się również wojna na wartości, to w 2015 r. w inscenizacji rocznicy zakończenia II wojny – jak i w dzisiejszej interpretacji Jałty, Poczdamu i zimnej wojny – nie to jest ważne, czy Polsce przez moment uda się stanąć na proscenium europejskiej polityki historycznej. Ważne jest to, na ile, wraz z unijnymi partnerami, potrafimy pokazać, że naszej części Europy po katastrofie dwóch wojen światowych rzeczywiście udało się przezwyciężyć fatalizm wrogości. I ograniczyć pokusę wsobnej polityki historycznej.

Przypomnijmy, że Unia Europejska poza doraźnymi uwarunkowaniami politycznymi miała dwa fundamentalne akty założycielskie:

świadomość moralnej katastrofy Europy, jakim było przemysłowo zaplanowane nazistowskie ludobójstwo, oraz rezygnację z części narodowej suwerenności na rzecz struktur wspólnotowych. Poniekąd trzecim aktem założycielskim dzisiejszej UE było obalenie komunizmu w 1989 r. Przy czym rewolucja w Europie Środkowo-Wschodniej miała wyraźny polsko-niemiecki akcent. Nie doszłoby do niej bez uznania granicy na Odrze i Nysie i wieloletniej pracy nad pojednaniem.

Bezwestny rewizjonizm imperialny Kremla może i ma poparcie zwykłych Rosjan. Jednak częścią moralnej siły naszej Europy jest kultura wstydu i otwartego spojrzenia na własne przewiny. Także dojrzałego traktowania historii. Wyliczyliśmy nad III Rzeszą przyniosło Europie ratunek, ale tylko warunkowo jest powodem do dumy i świętowania. I właśnie cnotę krytycznego spojrzenia na historię kraje Unii mogłyby 8 maja i 9 maja zademonstrować w Berlinie. W Gdańsku oczywiście też. ■